

Janusz M. Paluch

Minione lepsze dni

Podczas wielu podróży na Kresy, kiedy spotykałem wciąż przecież tam żyjących Polaków, którym przyszło spędzić życie w rodzinnych pieleszach, choć już nie w ukochanej Polsce, mimo uśmiechów czy nawet radości ze spotkania z rodakami (dla wielu jest to wciąż święto!), w ich oczach dostrzegałem zawsze smutek. Smutek i tęsknotę. Tak było i w tym roku, kiedy w Okopach Świętej Trójcy podeszła do nas wiekowa już kobieta. Oczywiście oczekiwała kilku hrywien jałmużny... To, w państwie ukraińskim, sposób na przeżycie starych ludzi, nie tylko Polaków. Opowiadała piękną, archaiczną już polszczyzną, że jest ostatnią we wsi żyjącą Polką. Nazywa się Biela, a jej ojciec pochodził spod Myślenic. Było im dobrze za Polski, a potem wojna zniszczyła wszystko. Pozostały tylko wspomnienia tych ostatnich radosnych dni młodości – lata 1939 r. Lepsze dni już nie przyszły. Choć na twarzy pani Bieli uśmiech, bo znowu może kilka zdań po polsku powiedzieć, to w oczach głębia smutku i żalu...

Lepszy dzień nie przyszedł już zatytułowała Aleksandra Ziółkowska-Boehm swą książkę wydaną w tym roku przez wydawnictwo Iskry. Autorka niemal każdego roku ofiarowuje nam ostatnio historyczne opowieści – dość wspomnieć *Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża* (doczekała się amerykańskiej edycji!), *Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon, Na tropach Wańkowicza po latach*. W jakimś sensie *Lepszy dzień nie przyszedł już* jest kontynuacją poprzednich jej opowieści. Oczywiście, pojawiają się nowe wątki, nowi bohaterowie, ale spotkamy też ludzi z kręgu kraśnickiego dworu, jak i związanych z historią oddziału majora „Hubala”.

Książka złożona jest z trzech opowieści. Pierwsza część to narracja pani Joanny Synowiec, urodzonej na Podlasiu. Ona i jej rodzina 10 lutego 1940 r. została zmuszona do opuszczenia swego domu. Załadowano ich do bydłowych wagonów kolejowych i powieziono w głąb Rosji. Najpierw przeszli przez obozy w rejonie Archangielska, potem zostali przeniesieni do kołchozów w Uzbekistanie. Te miesiące i lata przeplecione wyczerpującą pracą, klimatem dla nich nie do zniesienia, głodem, jakiego nigdy nie znali, warunkami życia, o jakich nigdy nie słyszeli, przypłacali chorobami i śmiercią. Najpierw umarła babcia, potem w transporcie zaginął ojciec, którego odnaleziono przemarzniętego, nieprzytomnego i skrajnie wyczerpanego. Do zdrowia nie powrócił nigdy. W dziwnych okolicznościach zginęła matka. Po jakimś czasie zmarł ojciec, a dzieci zostały

zabrane do sierocińca: 12-letnia Joanna, 10-letni Józio i 5-letni Henio. Gdy przypadkowo dowiedzieli się o polskim wojsku, uciekli z sierocińca sowieckiego, a potem przeszli z wojskiem polskim drogą do Iranu, skąd przetransportowani zostali z grupą dzieci do Santa Rosa w Meksyku. Wcześniej jednak, w Teheranie, zmarł najmłodszy Henio. Dorosłe życie w USA nigdy nie było normalne, zawsze w cieniu wspomnień wojennych. Józio nie był w stanie unieść tego ciężaru psychicznie. A Joannie po tamtym dniu, po którym już lepszy nigdy nie nastąpił, pozostała czarno-biała fotografia wykonana w Kobryniu, na której są wszyscy – rodzice, Henio i Józio oraz bohaterka pierwszej opowieści.

Druga opowieść, zatytułowana *Winnice Wartanowiczów na Podolu*, poświęcona wojennym dziejom ormiańskiej rodziny Wartanowiczów, wiąże się z dworem w Kraśnicy. Ewa Bąkowska, bohaterka poprzedniej książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm *Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon*, opowiedziała bowiem historię swej kuzynki z Johannesburga. Zresztą nie tylko ona była inspiratorką do spisania tej opowieści, także mistrz autorki, Melchior Wańkowicz wspomina Dźwiniacz, gdzie spotkał Wartanowiczów w *Drodze do Urzędowa*. Dźwiniacz leży niedaleko Zaleszczyk, znanego jako kurtort letni w czasach II RP oraz miejsce przeprawy do Rumunii władz polskich 17 września 1939 r. Rejon ten słynął także z podolskich winnic, a Józef Wartanowicz nie tylko uprawiał winorośl, ale także opublikował artykuł *Sadownictwo i winiarstwo ciepłego Podola*, który ukazał się w okazjonalnej broszurze *Winobranie w Zaleszczykach 15–30 września 1937 r.* W czasie okupacji niemieckiej został rozstrzelany przez Niemców, a jego żona z dziećmi trafiła do Kraśnicy, gdzie przeżyli resztę wojny. Marian Wartanowicz, brat Józefa, w nowym domu w Dźwiniaczu mieszkał z rodziną zaledwie dwa tygodnie. On trafił do wojska, a rodzina przeniosła się do Zaleszczyk, gdzie na wypadek wybuchu wojny przygotował dla nich zawczasu mieszkanie. Podczas wojny Marian trafił do obozu jenieckiego w Murnau, a jego żona z dziećmi – Anulką i Jerzykiem – wywiezieni zostali w głąb Rosji, do Kazachstanu, skąd przez Uzbekistan i Persję z Wojskiem Polskim trafili do Afryki. Tylko opatrność boska, ogromne szczęście i siła woli spowodowały, że wszyscy przetrwali te lata wypełnione nieludzkimi warunkami życia, pracą ponad siły, głodem i niebezpiecznymi chorobami. Po wojnie zamieszkali

w Wielkiej Brytanii, ale z czasem przenieśli się do Afryki, gdzie mogli czuć się tak jak przed laty na ciepłym Podolu.

I w końcu trzecia opowieść zatytułowana *Z miejsca na miejsce w cieniu Hubala* to rzecz o Romanie Rodziewicz. Z jednej strony to piękna opowieść o wieloletniej przyjaźni autorki z bohaterem opowieści, który w 2012 roku obchodził w Anglii 99. urodziny. A wszystko zaczęło się od odwiedzin u Melchiora Wańkowicza w Konstancinie w 1973 r. oraz dłuższej wizyty Rodziewicza w Polsce w 1974 r., kiedy to u pisarza odbywały się długie posady Hubalczyków i rozmowy o filmie *Hubal* w reżyserii Bohdana Poręby według scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego, który wówczas zaczęto wyświetlać w kinach. Jesienią tamtego roku zmarł Melchior Wańkowicz, a Aleksandra Ziółkowska stała się depozytariuszką Wańkowiczowskich tradycji. I to jak skutecznie, wszak niedawno ukazał się 16. tom dzieł Melchiora Wańkowicza wydawanych przez Wydawnictwo Pruszyński!

Roman Rodziewicz swym życiorysem mógłby obdarzyć kilka osób. Urodził się na Kresach, ale dzieciństwo spędził w Mandzurii, gdzie jego ojciec został zesłany przez władze carskie. Jako dziecko wraz z małoletnią siostrą został przez rodziców wysłany do Polski, właściwie bez żadnej opieki, przez Japonię, gdzie spędzili jakiś czas, potem na statku japońskim popłynęli do Londynu, skąd również drogą morską dotarli do Gdańska. Tam nikt na nich nie czekał. Nigdy więcej też nie spotkał rodziców, którzy w ciągu roku zmarli w Mandzurii, jedno po drugim. Nastąpił czas młodzięczego wojowniczego życia, służby wojskowej, miłości do rolnictwa i w końcu kampanii wrześniowej, której nie skończył po kapitulacji Polski, bo trafił pod dowództwo majora Dobrzańskiego „Hubala”. Przez to zalicza się do ostatnich walczących żołnierzy II RP. W czasie wojny konspiracja, aresztowanie, dramatyczne lata w obozach koncentracyjnych Auschwitz, Buchenwald. Ile razy ocierał się o śmierć? Pewnie sam dzisiaj już z tego nie zdaje sobie sprawy. Dzięki temu, że w 1944 r. znalazł się w Salzburgu – a komendant obozu odmówił wykonania rozkazu likwidacji obozu, czyli rozstrzelania więźniów, którym kazał uciekać i schronić się w jaskiniach do czasu przybycia wojsk amerykańskich – zaciągnął się jeszcze do Wojska Polskiego we Włoszech. Po wojnie trafił do Anglii, gdzie żyje do dzisiaj. A jeśli na tę historię nałożyć niespełnioną miłość... Więcej do lektury namawiać chyba już nikogo nie trzeba?!

Dla wszystkich bohaterów pięknej opowieści Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm „lepszy dzień nie przyszedł już”. Ich szczęśliwemu życiu kres położyła II wojna światowa, która pozbawiła ich domu, zdrowia, rodziny, majątku, Ojczyzny. Jestem przekonany, że książka Ziółkowskiej jest i będzie jedną z ważniejszych lektur opisujących losy Polaków.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm, *Lepszy dzień nie przyszedł już*, Iskry, Warszawa 2012.